



Mirosław Derecki

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (5).

PARTYZANT, „GÓRAL” I KSIĄŻĘ POEZJI

Zbigniewa Jakubika poznałem w początkach 1957 r. na wieczorze autorskim w lubelskim klubie „Nora”, na którym czytał swoje ostatnie opowiadanie - „Literat na wczasach”. Była to rzecz dowcipna i pełna bystrych obserwacji natury socjo- i psychologicznej, dotycząca przypadkowej społeczności wtłoczonej na dwa tygodnie w ramy regulaminu Funduszu Wczasów Pracowniczych. Opowiadanie podobało się i zostało nagrodzone szczerymi brawami, ale występ Jakubika pozostawił jednak wrażenie niedosytu. W owych gorących, popaździernikowych miesiącach - my, młodzi, oczekiwaliśmy od autora, którego postać kojarzyła się z akowską partyzancką legendą, z tragicznym końcem zgrupowania majora „Kaliny” w Puszczy Solskiej, czegoś bardziej „drapieżnego”; prawdy o wydarzeniach, o których do niedawna mówiło się tylko szeptem, jakiejś prozy gorącej, rozliczeniowej... A tu - „Literat na wczasach”!

Ale to właśnie był cały Zbyszek Jakubik: nie pasujący do żadnych konwencji oraz mód, maszerujący przez życie zawsze tylko własnymi drogami.

Należał do pokolenia „Kolumbów”. Gdy wybuchła wojna, miał ukończonych dziewiętnaście lat, a w kieszeni świadectwo maturalne Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Lublinie. Zawierucha okupacyjna rzuciła go na głęboką prowincję, do Józefowa Biłgorajskiego. Do owego skrytego wśród niezmiernych lasów „partyzanckiego zagłębia”, gdzie liczyło się słowo „Wira”, „Korsarza” czy bojowy okrzyk „Miszki Tatar”, a nie: niemiecka komenda. Pomimo słabego zdrowia i wady serca Jakubik wstąpił do Armii Krajowej. Brał udział w bitwie pod Osuchami i tam właśnie wykazał brawurową odwagę, wracając pod lawiną niemieckiego ognia po pozostawiony na polu walki karabin maszynowy. Ciężko ranny, przeleżał kilka dni ukryty w zaroślach, cudem uniknąwszy dobiecia przez Niemców przeczesujących Puszcę Solską. Znaleźli go później chłopci ledwie żywego i odstawili cichcem do szpitala w Szczebrzeszynie, gdzie zaopiekował się nim dr Zygmunt Klukowski. Autor znakomitego, wydanego wiele lat później, „Dziennika z lat okupacji” zanotował wówczas, pod datą 5 lipca 1944 r.: „Do szpitala przywieziono nam od „Wira”

ciężko rannego młodego żołnierza Jakubika „Marka”. Przeleżał on w lesie bez opatrunku i bez jedzenia od niedzieli do czwartku”. Klukowski nie tylko wyleczył Jakubika, ale ukierunkował także jego życiowe zainteresowania. Właśnie stary doktor ze Szczebrzeszyna pierwszy dostrzegł pisarskie predyspozycje młodego partyzanta i namówił go do napisania wspomnień z lasu. W 1948 r., w II tomie redagowanego przez Zygmunta Klukowskiego „Wydawnictwa Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny” ukazał się kilkudziesięciostronicowy prozatorski debiut Zbigniewa Jakubika, opatrzony skromnym tytułem: „Z wrażeń i przeżyć szeregowca partyzanta w lasach biłgorajskich”. Sygnowany był partyzanckim pseudonimem autora: „Marek”.

Zewnątrznie Zbyszek Jakubik nie pasował do obiegowych wyobrażeń o partyzantach, bojownikach i narodowych wyzwolicielach. Średniego wzrostu, dość korpulentny, poruszał się wolno, mówił niespiesznie i z namysłem, wciąż gotowy do „zglobiania tematu” i drobiazgowego rozważania „za i przeciw” każdego problemu. Kiedy wypowiadał się, potrafił w połowie zdania zamyślić się głęboko, szukając odpowiedniego słowa lub precyzując w duchu sens wypowiedzi, czym doprowadzał do szału pozostałych dyskutantów lub rozmówców. Natomiast jego opowiadania, felietony czy recenzje cechowała zwięzłość, zdecydowanie i lakoniczność; wszystko to jeszcze podbarwione - specyficznym, błyskotliwym humorem. W okresie, gdy go poznałem, Jakubik współpracował stale z redakcją „Sztandaru Ludu”, pisząc masę felietonów „z życia”, które opatrywał pseudonimem „Marchoń”. Te felietony powstawały zazwyczaj przy stoliku stojącym niedaleko wejścia w dolnej czytelni Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki przy Krakowskim Przedmieściu, który Zbyszek okupował już od samego rana. Przy tymże stoliku oddawał się wielogodzinnym „systemowym” obliczeniom i notatkom, mającym przynieść mu główną wygraną w „Toto-Lotku”. Niestety, powyżej „trójki” nigdy, zdaje się, nie trafił. Poza tym pisywał jeszcze Jakubik recenzje filmowe, a w „Kamieniu” publikował co pewien czas, przeprowadzaną przez siebie wśród przedstawicieli różnych lubelskich środowisk, „sondę” na tematy kulturalne, zawsze pod tym samym tytułem: „Nachodzę ludzi”. Nie dbał o dobra materialne. Jako dziennikarz pracował zrywami, a nie lubiąc wiązać się nigdzie etatem, pozostawał okresami w bardzo trudnych warunkach finansowych. Nie wszyscy wiedzieli jednak, że większość sił i czasu poświęca Zbyszek jednej naczelnej sprawie: książce opowiadającej prawdę o ludziach z lasów biłgorajskich, którzy żyli i ginęli, walcząc o wolność swojej ziemi. Kiedy w 1963 r. ukazały się wreszcie „Czapki na bakier”, wszyscy byli wstrząśnięci przenikliwością i zarazem niezwykłą prostotą tej prozy. Sobie samemu wyznaczył Zbyszek w „Czapkach na bakier” miejsce jak najskromniejsze - młodego człowieka, trochę niezdarne, trochę zagubionego w otaczającej rzeczywistości, biorącego do ręki karabin, bo po prostu tak trzeba. Na okładce pierwszego wydania króluje płomienna

Nike. A gdzieś nisko, u jej stóp, rysuje się maleńka, trochę niezgrabna i jakby nieporadna sylwetka młodego człowieka w partyzanckim mundurze. Cała prawda o „Czapkach na bakier” i o Zbyszku Jakubiku.

Pisząc o Jakubiku, nie wolno zapomnieć o jego działalności jako animatora życia kulturalnego i literackiego. Ta pasja objawiła się bardzo wcześnie, w latach tuż powojennych, gdy studiował polonistykę na KUL-u. Wtedy to, chyba w roku 1947, przy Kole Polonistów założył Sekcję Twórczości Własnej, Do tej Sekcji dołączył po powrocie do Lublina z wojennej tułaczki młody student polonistyki i anglistyki Jerzy Krzyszoń i, jak stwierdził po wielu latach w swych lubelskich wspomnieniach, dla jego pierwszych prób literackich dyskusje i rozmowy z Jakubikiem miały wielkie znaczenie. Bo Zbyszek miał zawsze szeroko otwarte serce i drzwi swojego mieszkania dla młodych ludzi, którzy sięgali po pióro.

Gdy w 1956 r. nastąpiło bardzo silne ożywienie młodego lubelskiego środowiska literackiego, Jakubik był jednym z rzeczników powstania Lubelskiego Klubu Literackiego i wydawanego przy „Kurierze Lubelskim” organu tego Klubu, tygodniowej kolumny „Teraz”. A nieco wcześniej wszedł w skład kolegium redakcyjnego tygodnika społeczno-kulturalnego Klubu Młodej Inteligencji - „Pod wiatr”.

„Ubi leones?” - „Gdzie są lwy?!”. To zawołanie Zbyszka Jakubika, tak przez niego często powtarzane przy różnych okazjach, dźwięczy mi do dzisiaj w uszach. Ta przestroga: „Nie spoczywać na laurach, walczyć, walczyć, walczyć!”

Zmarł w 1976 r., wcale nie po partyzancku, a zwyczajnie, na serce, w łóżku. Pozostawił po sobie bardzo wiele dobrej ludzkiej pamięci i jeszcze jedną książkę - „Mój wstrętny brzuch”, która od lat krąży po różnych wydawnictwach i nie może się ukazać. Pisze w niej Zbyszek o gorzkich doświadczeniach starszego strzelca „Marka”, po tym, gdy skończył się okres czapek na bakier.

W latach 1955-1956 spośród młodych ludzi drukujących na łamach „Kameny” najbardziej wybijały się nazwiska Władysława Ćwika i Zbigniewa Stepka. Prawie w każdym numerze ówczesnego miesięcznika można znaleźć ich opowiadania, fraszki lub artykuły publicystyczne. Ćwik miał wkrótce wziąć rozbrat z literaturą, poświęcając się ostatecznie nauce - jest dzisiaj profesorem doktorem (i to jeszcze w dodatku: habilitowanym), specjalistą od historii ustroju i państwa na UMCS - chociaż nadal pisuje w wolnych chwilach teksty kabaretowe pod pseudonimem Władysława Ziemiana, i wiele programów lubelskiego kabaretu „Czart” jest jego współautorstwa. Natomiast jego kolega z Koła Młodych, Zbigniew Stepek, miał do końca życia pozostać przy literackiej profesji, chociaż dość wcześnie zdecydował się zamienić pióro na mikrofon radiowy. Przez wiele lat prowadził dział literacki Rozgłośni „Polskiego Radia” w Lublinie, napisał wiele słuchowisk, stworzył szereg ciekawych reportażowych „dźwięków”, a w każdą niedzielę rano słyhać było z Lublina jego

miękki, „wyciszony” głos zapowiadający Lubelską Kronikę Kulturalną. Oprócz literatury i radia miał jeszcze jedną życiową pasję, o której mało kto z radiosłuchaczy wiedział, a która z biegiem lat coraz bardziej dominowała całe życie Zbyszka: było to taternictwo...

Pierwszy raz zobaczyłem Zbyszka na scenie kabareciku literackiego „Kaczka”. Istniał w Lublinie na przełomie 1956 i 1957 r. taki kabaret, prawie już dzisiaj zupełnie zapomniany, a produkował się na estradach restauracji „Europa” i kawiarni „Lublinianka”; dał w sumie dwa programy i kilkanaście przedstawień. Pisali do niego teksty młodzi dziennikarze i członkowie literackiego Koła Młodych oraz ich nieco starsza koleżanka ze „Sztandaru Ludu” Mirosława Knorr, a występowali m. in. Danuta Bieniaszkiewiczowa, Wiesława Bandyra i Zbigniew Stępek. Cała ta trójka pracowała zresztą od niedawna w aktywizującej właśnie swoją działalność lubelskiej rozgłośni radiowej. Po dojściu jeszcze do radia Janusza Danielaka i Jerzego Księskiego miał się rozpocząć najbardziej owocny dla tej rozgłośni okres tzw. „lubelskiej szkoły reportażu radiowego”. Ale to już inna historia.

Tymczasem Zbyszek Stepek tkwił jeszcze jedną nogą w „Kamieniu”, gdzie wraz z Anną Markową mieli chyba przez pewien czas nawet jakieś ułamkowe ryczałty za prowadzenie prac technicznych, oraz likwidował sprawy Koła Młodych, które w miesiącach popaździernikowych rozpadło się. Stępek prezesował temu Kołu przez kilka lat. Jego członkami byli w połowie lat pięćdziesiątych m. in.: Władysław Ćwik, Stanisław Weremczuk, Józef Zięba, Piotr Kuncewicz, Zbigniew Stawecki, a także kręcili się przy nim dwaj bardzo uzdolnieni uczniowie lubelskich gimnazjów: Andrzej Tchórzewski i Andrzej Turczyński. Sam Stępek miał jeszcze, dodatkowo wyróżniającą go od reszty, pozycję „kandydata Związku Literatów Polskich”. Brzmiało to co najmniej jak „kandydat Akademii Nauk” lub „profesor nadzwyczajny” i stanowiło powód dzikiej zazdrości „zwyčajnych” młodych adeptów pióra. „Kandydatami ZLP” byli na początku lat pięćdziesiątych także Jerzy Krzysztoń, Zbigniew Jakubik, Zygmunt Mikulski, Stefan Wolski, Maria Szczepkowska. A także Konrad Bielski i Wacław Gralewski, którzy jednak już w 1952 r. zostali bardzo szybko - a w jaki sposób, historia o tym milczy - „zweryfikowani” na członków rzeczywistych bez ustawowego okresu wyczekiwania i wykazywania się postępami w rozwoju.

W 1957 r. zawiązał się Lubelski Klub Literacki, będący jakby kontynuacją założonego jeszcze w 1945 r. przez prof. Juliana Kleinera Klubu Literackiego oraz przejmujący dobre tradycje niedawnego Koła Młodych. Już nie pamiętam, czy Zbyszek był w LKL, ale chyba tak, bo przecież wśród wydanych w 1957 r. systemem powielaczowym z inicjatywy LKL, kilku tomików literackich znalazł się także zbiorek jego opowiadań - „Ręka ze snu”. Do wydania następnej książki Stępka, powieści „Most”, miało upłynąć piętnaście lat. W 1974 r. ukazała się „Charchira. Reportaż z gór”. Ale było to już rok po śmierci autora. W maszynopisie znajduje się jeszcze jedna „górska” książka Zbyszka Stępka.

Ta pasja gór, wspinaczki, pokonywania niebezpieczeństw, dążenia ku spowitym chmurami szczytom Tatr, Kaukazu, Altaju, Himalajów! Układny z pozoru, gładki w obejściu, zawsze zapięty na ostatni guzik, wyprasowany na kant i pachnący dobrymi kosmetykami, Zbyszek czuł się naprawdę sobą może dopiero wówczas, gdy nakładał puchową wiatrówkę, do butów przypinał raki, a do ręki brał czekan. Niektórzy mówili, że się „kończy” zawodowo, że goni tylko za zarobkiem. Ale może on już miał po prostu dosyć potocznego dziennikarstwa. Może chciał chodzić po górach i o górach pisać książki. Tymczasem wymagano od niego codziennej dziennikarskiej „sieczki”, z której już dawno wyrósł. Chciał się wynieść z Lublina. Do Warszawy, gdzie, jak sądził, będzie mógł robić reportaże ze swoich wędrówek. Pokomplikowało mu się życie osobiste. Przekroczył czterdziestkę, tą liczbę magiczną w życiu mężczyzny...

Nie byliśmy nigdy ze Zbyszkiem bliżej związanych, ale właśnie w tym ostatnim okresie zrobiliśmy wspólnie kilka audycji i nagraliśmy parę dźwiękowych reportaży: o wiejskim grajku, który miał skrzypce Stradivariusa, o lubartowskim fryzjerze, co przewędrował z polskim wojskiem pół świata...

Zbyszek odwoził mnie czasem po nagraniach do domu swym moskwiczem. Żegnaliśmy się i szybko wysiadałem. Ale jednego wieczora zagadaliśmy się w samochodzie. Staliśmy długo na parkingu i Zbyszek mówił, że oto rysuje się przed nim pierwsza i zarazem ostatnia szansa wyjazdu w Himalaje. Ostatnia, bo po czterdziestce mało kto w Himalajach wytrzyma kondycyjnie. Te Himalaje to miało być dla Zbyszka ukoronowanie całej dotychczasowej drogi życiowej. „Jak mnie nie puszczą w pracy, gotów jestem nawet radio rzucić. Wszystko rzucę, a pojedę. Mam ostatnią szansę. Teraz albo nigdy”.

Pojechał. I w Himalajach został na zawsze. Przywalała go w czasie wspinaczki śnieżna lawina idąca ze szczytu. Ciało nigdy nie odnaleziono.

„Sted” sam się targnął na życie. Też miał wtedy lat czterdzieści. Ale ze „Stedem” było całkiem inaczej niż ze Zbyszkiem.

„Sted” to młodzińczy pseudonim literacki; potem już wszyscy znajomi tylko tak go nazywali. Po prostu „Sted”. Skrót od: Stachura Edward.

Jego pierwsze lubelskie wiersze i opowiadania ukazały się w „Kamienie”, w „Sztandarze Ludu” i „Kurierze Lubelskim” w 1958 r. Stachura zaczął wówczas studiować romanistykę na KUL-u. Język znał doskonale, urodził się wszak w rodzinie polskiego emigranta w Charvein we Francji. Ale naprawdę interesowały go tylko wiersze. I poker. Stachura żył wyłącznie dla własnej poezji. Ale żeby za coś żyć - musiał grać. Grał koncertowo. Miał wejścia do wielu nielegalnych „salonów” w Polsce, znał hasła, nazwiska zawodowców, słowem - miał kontakt na kraj. Pieniądzy jednak nigdy nie potrafił w garści utrzymać, bo jak jednego dnia wygrał, to następnego przegrał. Tyle że zawsze starczyło mu

na błękitne spodnie marki „Lee” i dżinsową kurtkę, innych strojów nie uznawał. Po powrocie ze swojego pierwszego stypendium we Francji przysłał mi do redakcji „Kameny” opowiadanie i list. W liście pisał, że teraz zaczyna zupełnie nowe życie, skończył raz na zawsze z „grą”, ale są mu potrzebne pieniądze, więc może byśmy wydrukowali... To wszystko było chyba jeszcze przed małżeństwem „Steda” i jego pewnym życiowym ustabilizowaniem się. Nie wiem, czy potem nadal grał, czy nie.

Poezja i poker. Siedziało w nim jednocześnie dwóch ludzi. Ten pierwszy był liryczny, rzewny, sentymentalny, pełen kompleksów. Ten drugi - to londonowski tramp, zawadiaka, bywalec „saloonów” z Far Westu, jeździec prerii, syn „Igiełki Sosnowej” z książki „Kiddi, dziecię obozu” i nieszczęsny „Młody wygnaniec”... To chyba w „Siekierzadzie” pięknie pisze „Sted” o swojej ukochanej - „Gałązce Jabłoni”...

Nie potrafił usiedzieć spokojnie na miejscu. Niosło go w „rajzę” po Polsce; kiedyś usłyszałem w radiu, że rodzina go poszukuje, żeby się zgłosił, odnalazł...Jeździł też po Francji, po Meksyku, siadywał w Stanach nad brzegiem kanionu rzeki Colorado. Z opublikowanych po jego śmierci urywków twórczości dowiedziałem się, że w ostatnim okresie życia wrócił na młodzieńcze lubelskie szlaki podróżnicze; w nieistniejącej na mapie kultury Tarnawatce długo siedział na cmentarzu, obok grobu samobójcy, swego dawnego kolegi, wybitnego ociemniałego pianisty jazzowego Mieczysława Kosza...

Ale ja znałem Stachurę z czasów, gdy nie było jeszcze „Całej jaskrawości”, „Siekierzady” i „Piosenek”, z okresu, gdy żył w stęchłej atmosferze studenckich spiętrzonych łóżek w KUL-owskim akademiku przy ulicy Sławińskiego, kiedy koczował miesiącami na kozetce w biurze Oddziału ZLP przy Granicznej, a rano odczytywał przy biurku pani Oldze Gajewskiej, sekretarce, wiersze, które napisał w ciągu nocy. W Oldze znajdował zawsze oparcie - jak w matce, jak w przyjacielu. Kiedy ukazał się jego debiutancki tomik, zbiór opowiadań „Jeden dzień”, napisał na pierwszej stronie: „Pani Oldze Gajewskiej”, która zawsze wierzyła w Stachurę”.

Czytałem mu wiersze na jego pierwszym wieczorze autorskim, w klubie „Nora”. Będę zawsze pamiętał ten wieczór: półmrok wielkiej sali, pełgające płomyki świec i skupioną twarz „Steda”, gdy bezgłośnie porusza wargami. Jakby kontrolując każde padające z estrady, napisane przez siebie słowo...

Partyzant, „góral” i książkę poezji... Reprezentowali trzy różne epoki naszej współczesności, byli trzema zupełnie różnymi osobowościami twórczymi. Ale łączyło ich jedno: nie potrafili się zmieścić w otaczającym ich wymiarze świata.

Tylko - inaczej odchodzili. Pierwszy - w pojednaniu, drugi - w walce, trzeci - w rozpacz.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 7, s. 5.